

Rafał A. Ziemkiewicz  
Eliksir szczęścia  
czyli: Rafał Aleksandrowicz spotyka Jakuba Wędrowycza

Powinienem się, oczywiście, wcześniej domyślić. Już po pierwszym kieliszku tego mętnego świństwa, którym mnie obleśny staruch poczęstował. Nie, co ja mówię — jeszcze wcześniej. Od razu, jak udało mi się tam dotrzeć. No bo jak: zadupie, że w życiu gorszego nie widziałem, od pekaesu jeszcze z pięć kilometrów błotnistą drogą między nieużytkami, wszelkie tradycyjne odzywki o diable mówiącym dobranoc czy psach szczekających odwrotną stroną ciała wydawały mi się tu zdecydowanie za słabe. W takim miejscu na człowieka z Warszawy, jeszcze dziennikarza, powinni patrzeć jak buszmeni na brytyjskiego lorda w korkowym kasku. Nie mówię, że mieliby bić przede mną pokłony albo znosić ofiary, ale powinni przynajmniej troszkę się zdziwić. Tymczasem pierwszy wieśniak, którego zaczepiłem w zaułku uchodzącym tu zapewne za rynek, powiedział: „A, jeszcze jeden od tych tu z Warszawy?”.

Wyjaśniłem mu, że nazywam się Rafał Aleksandrowicz, jestem dziennikarzem „Gazety Narodowej”, przybyłem zrobić reportaż o ich gminie, i zapytałem, jakich to tych tu z Warszawy ma na myśli.

— Nu, władzę — powiedział. — Co byli wczoraj.

Po czym umknął w przestrzeń między zaniebanymi chałupami, zaniechawszy pożegnania. Nie zatrzymywałem go. Po co niby? Tłumaczyć, że jestem tu przez cholernego redakcyjnego jasnovidza?

Zresztą do głowy mi wtedy nie przyszło, że naprawdę mogło chodzić o prawdziwych przedstawicieli władzy. W języku ludu słowo to miało znacznie szersze znaczenie, obejmując nie tylko, co jeszcze rozumiałe, wszystkich mundurowych, ale również i dziennikarzy. Może ktoś gdzieś usłyszał o „czwartej władzy” i wziął to dosłownie, a może tak po prostu działała telewizja. Znajomy pravicowy polityk przeżył kiedyś ciężki szok, kiedy pojechał w teren buntować elektorat przeciwko rządowi. Ledwie wszedł na salę, miejscowa ludność zaczęła go lżyć i czynnie znieważać, jak wy, dranie, rządzie, do pierwszego nie starcza, za bezcen Polskę żeście wyprzedali i tak dalej. Rozpaczliwe tłumaczenia, że w pełni się z nimi zgadza i właśnie dlatego przyjechał, odbijały się jak od ściany. „Ludzie, ja jestem w opozycji! Ja przecież nie rządzę”, usiłował perswadować rozgniewanemu elektoratowi, na co usłyszał: „Jak to nie rządzisz, chuju złamany, kiedy ciągle cię w telewizji pokazują?”

Uśmiechnąłem się do tego wspomnienia, podziwiając nieco pochyłą architekturę Wojśławic. Tak, kiedyś wystarczyło mieć znajomych polityków. Jak wychodziły na kogoś kwity, to polityczny przeciwnik zanosił je do zaprzyjaźnionych dziennikarzy. Przecieki o aferach i przekrętach lewicy szły więc do mediów prawicowych, a o aferach i przekrętach prawicy do mediów lewicowych i małe, niezależne pisma o jasno określonym profilu ideowym, takie jak moja gazeta, jakoś mogły funkcjonować. Niestety, z czasem dawcy przecieków uświadomili sobie, że taki przeciek to dla mediów chodliwy towar, a za towar tylko frajer nie bierze pieniędzy. No i zaczęły się normalne konkursy ofert. Mam historię o tym, co łączy poszukiwanego międzynarodowym listem gończym aferzystę z osobistym sekretarzem premiera, cena wywoławcza pięćdziesiąt, kto da więcej? A ja mam billing doradcy ministra spraw wewnętrznych z numerami komórki znanego gangstera... W efekcie przecieki zostały szybko zmonopolizowane przez potężne medialne koncerny z przewagą kapitału zagranicznego, o rywalizacji z którymi moja gazeta nie miała nawet co marzyć.

Miałem wybór: mogłem zacząć od biura sołtysa, posterunku, parafii albo knajpy. W tym ostatnim miejscu warszawiak zawsze musi się liczyć z możliwością zarobienia w kły, ale w pozostałych nie dawali alkoholu.

Więc zasadniczo nie miałem wyboru.

Knajpa w Wojsławicach wyglądała ni mniej, ni więcej, tylko jak knajpa w Wojsławicach. Potrzeby estetyczne konsumentów zaspokajały zakurzone papierowe falbanki przypięte pinezkami do okapu nad bufetem oraz ustawiony na barze frontem do sali telewizor. W telewizorze podrygiwały z wyłączonym dźwiękiem czekoladowe dziewczyny w skąpych kostiumikach, w perspektywie nad nimi dało się widzieć jakiś święty obrazek, a z zaplecza dochodził smród odgrzewanych mrozonek i odgłosy krzątania się ajenta.

Salę wypełniały pamiętające czasy towarzysza Wiesława stoliki z podwiniętych, rozwarstwionych na rogach laminowanych płyt październowych osadzonych na drucianych nogach, na tyle ażurowych, że nikomu nie przyszło do głowy ich powyłamywać i użyć jako argumentu w którejś z toczonych w lokalu przez te wszystkie lata dyskusji. Podobnie ażurowe konstrukcje, opatrzone tapicerką z brudnej, niegdyś czerwonej dermy, służyły za krzesła. Na nich, wokół kilku zestawionych stolików pod oknem, biesiadowała miejscowa ludożera w ilości sztuk siedem.

Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Tylko ajent, kiedy wreszcie doczekałem się jego łaskawego wyłonienia z zaplecza, zmierzył mnie umiarkowanym zaciekawionym wzrokiem. Zacząłem ostrożnie, od piwa; przyniósł jakiś wynalazek z miejscowego browaru, postawił przede mną i wrócił do kuchni, nie nawiązując rozmowy.

Wyglądało na to, że centrum grupy pod oknem stanowiło dwóch omszałych staruchów w fufajkach — jeden chudy, trochę podobny do wędrownego proroka z „Konopielki”, drugi bardziej przysadzisty, pomarszczony, o czerwonej gębie wpadającej w okolicach nosa w fiolet i złośliwych oczkach. Ten chudy zaciągał mocno śpiewnym, kresowym akcentem, a ten ze złośliwymi oczkami wyraźnie stawiał albo był solenizantem.

No więc redakcyjny jasnowidz. Kiedy skończył się dostęp do afer, trzeba było sięgnąć w walce z konkurencją po niestandardowe metody. Wiadomo, że pod względem szybkości przekazywania informacji o każdym zdarzeniu radio i telewizja zawsze będą od gazety lepsze. Chyba że gazeta będzie z góry wiedziała, gdzie szukać, jeszcze zanim zdarzenie nastąpi. Skoro odwołują się do jasnowidzów policjanci, to co się dziwić, że w końcu sięgnęły po nich i walczące o miejsce na rynku redakcje.

Współpraca z wróżem szła topornie, bo w tej branży klarowność wystawiania się i ścisłość nie są wysoko w cenie. Wręcz przeciwnie. Jasnowidz mędził, ściemniał, ubierał wszystko w piętrowe metafory i dopiero wyraźnie sformułowane przypomnienie, że płacimy za konkrety, a nie za show, skłoniła go do wydukania nazwy miejscowości: Wojsławice. To właśnie z Wojsławic miała niebawem wyjść wielka zmiana nastrojów, która obali wywyższonych i wywyższy obalonych, czy jak tam leciał ten wieszczy słowotok. Na czym owa zmiana miała polegać, nie był już w stanie wyjaśnić. I jeszcze śmiał żądać kasy od ręki. Na szczęście szefowa miała na takich wypracowane sposoby.

Po dokładniejszym sprawdzeniu okazało się, że poza niedalekimi wykopaliskami Wojsławice zwracają uwagę tylko jednym. Od niepamiętnych czasów frekwencja wyborcza wynosiła tu od 99,8 do 100 procent uprawnionych i zawsze 99,8 do 100 procent głosów uzyskiwał ten sam sołtys.

Staruch z czerwoną twarzą nie był solenizantem, tylko bohaterem wieczoru, mogłem uściślić po kilkunastu minutach niezbyt intensywnego nadstawiania ucha. Oblewano tu jakiś jego sukces. Wczorajszy, sądząc ze strzępów dialogów.

Ajent objawił się ponownie z kolejnym piwem i postanowiłem wykorzystać tę rzadką okazję do nawiązania konwersacji.

— Niezłe piwo — zagadnąłem. Przyznacie, że oryginalne.

— Perła — burknął.

Od biedy można było uznać, że już się zaprzyjaźniliśmy.

— Jestem dziennikarzem, z Warszawy — przedstawiłem się. — Robię tu reportaż.

Na twarzy ajenta odbił się umysłowy wysiłek.

— O tych z beczkowozem?! — spróbował zgadnąć.

— Z beczkowozem? To znaczy ci, co tu przyjechali wczoraj, mieli ze sobą jakiś beczkowóz?

— A, ja tam nic nie wiem — no i masz, spłoszył się.

Popatrzyłem smętnie, jak znika na zapleczu. Nie pozostało nic innego, niż iść na beczelnego. Ująłem świeżo przyniesione piwo, szklankę i zbliżyłem się do zajętych stolików.

— Witam szanownych panów — oznajmiłem teatralnym tonem, zarezerwowanym na podobne okazje. — Proszę wybaczyć, że naruszam prywatność, ale czy łaskawie zechcą panowie pozwolić, że spocznę na chwilę, aby wypić w ich zacnym towarzystwie — tu uniosłem nieco butelkę — to jedno piwo?

Onieśmienie, jakie spowodowała moja wyszukana uprzejmość, dało się zinterpretować jako milczącą zgodę, i tak właśnie zrobiłem, dostawiając sobie ażurowo-dermowe krzeselko.

— Jeszcze jeden z Warszawy — mruknął domyślnie jeden z biesiadników, bardziej od pozostałych zasmarkany.

— W istocie. Jak słyszałem, zamieszkiwana przez panów miejscowość z niejasnych jeszcze dla mnie przyczyn stała się ostatnio obiektem szczególnego zainteresowania ludzi ze stolicy. Panowie zaś, jak pozwałam sobie zauważyć, właśnie świętują jakiś sukces. Muszę powiedzieć, że jako dziennikarza bardzo mnie to ciekawi.

— A świętuję — zaskrzypiał staruch o złośliwych oczkach. — Birskiego wreszcie szlag trafi!

To ostatnie stwierdzenie wyzwoliło falę rechotu i stukania się musztardówkami.

Pociągnąłem łyk „Perły”. Kiedy ludzie zaczną gadać, to i w końcu powiedzą, nie ma co ciągnąć za język, bo się spłoszą jak agent.

— Nasz Jakub — poczuł się w obowiązku uświadomić mnie miejscowy o kartoflowatym wyglądzie — został wczoraj po raz trzydziesty uwolniony od zarzutu pędzenia bimbru ze względu na zły stan zdrowia, podeszły wiek i znikomą szkodliwość społeczną.

— Nu, niewinniony ta jedno, ale jakie ma teraz chody... — rzekł chudy. — Odkrycie o strategicznym znaczeniu dla państwa...

— To mówię, że Birskiego wreszcie szlag trafi — zarechotał ponownie staruch.

No tak, od razu się tego domyślałem.

— Zechce pan pozwolić, że dołączę swoje gratulacje. Bo zapewne słusznie wnoszę — podjąłem, odczekawszy, aż się wyśmieją — że mam przed sobą producenta znanych i cenionych w środowisku koneserów napojów wysokowych, Jakuba Wędrowycza?

— Hę? — Staruch wcale nie wyglądał, jak się tego spodziewałem, na mile polechtanego. — To sukinsyny, obiecali mordę trzymać w kubeł, a już rozgadali do gazet?! — Potrząsnął nad stołem odmrożonym na fioletowo, kościstym kułakiem.

— Nu, i mówił ja, z partyjnymi zawsze tak — westchnął chudy, rozkładając ręce.

— To nie partyjne były, tylko ABW — sprostował kartoflowaty.

— W pańskiej zaś osobie — zwróciłem się do chudego — mam zapewne zaszczyt powitać Semena Korczaszkę? A pan — skinąłem kartoflowatemu — niewątpliwie jest przedstawicielem miejscowych władz samorządowych, czyli innymi słowy: tutejszym sołtysem?

Potwierdzili, ale tylko sołtys zareagował prawidłowo, to znaczy dumnym uśmiechem i wypięciem okrytej fufajką piersi.

— Jest mi niezmiernie miło i pozwólcie, zacni panowie, że od razu rozproszę wasze ewentualne obawy co do tego, skąd mam przyjemność was znać. Mamy po prostu wspólnego znajomego.

— Hę?

Właśnie ta cholerna znajomość, a raczej nieopatrzne przyznanie się do niej, kiedy w redakcji padło na głos słowo „Wojśławice”, zadecydowały o wyznaczeniu mnie przez kierownictwo do tej eskapady.

— Opowiadał mi o panach znany archeolog, doktor Olszakowski. W zeszłym sezonie prowadził wykopaliska na pobliskich kurhanach.

— Aaa! Ten... — staruch przełknął w ostatniej chwili jakieś słowo — w okularkach? No, no, pamiętam. Śmieszny chłopina, ale pił jak uczciwy człowiek!

— Nu, wiesz co, ty nasz wynalazco? — zaśpiewał Korczaszko. — Należę redaktorowi, z daleka jechał...

Spod stołu wyjechała butla z grubego szkła o rozmiarach małego gąsiorka, napełniona do połowy mętym, zalatującym fuzzlami płynem. Wszystko szło zgodnie z klasycznymi wskazaniem Malinowskiego: pierwsze lody zostały przełamane, można było rozpocząć obserwację uczestniczącą.

\* \* \*

Dalej mimo wszelkich starań relacja nieuchronnie musi nabrać rwanego charakteru. Piliśmy biber, popijając piwem, i nie zamierzam udawać, że byłem w stanie w tej konkurencji dotrzymać kroku miejscowym. Zgodnie z zasadami obserwacji uczestniczącej nie starałem się ciągnąć nikogo za język. Gadaliśmy głównie o Jewno Azefie i Stołypinie (z Korczaszką) oraz o trzynastu biegach traktora (z zasmarkanym). Za oknami robiło się już ciemno — chyba że była to moja własna, z wolna nasuwająca się na oczy wewnętrzna pomrocność — kiedy sołtys wyjaśniał mi tajemnicę bezprzykładnie wysokiej frekwencji w jego gminie. Prawdę mówiąc, specjalnej tajemnicy w tym nie było.

— Szkoły u nas nie ma, rady narodowej nie ma, to gdzie zrobić komisję wyborczą? Tylko tu. Lokal wyborczy zamknąć można dopiero, kiedy wszyscy uprawnieni i w dniu głosowania obecni na terenie gminy oddadzą głos. To już ci, co ich suszy, sami pilnują, żeby wszyscy przyszli za obywatelskim obowiązkiem jeszcze przed mszą.

— Aha. A że zawsze na ciebie, sołtys — nie pamiętam dokładnie, w którym momencie przestałem się wygłupiać z wyszukany sposobem wysławiania i przeszedłem z miejscowymi na „ty” — to już z braku innych kandydatów?

— A, to już, widzisz, redaktor, zasługa Wędrowicza. Takiego napędził... A, zresztą to sekret.

Nie nalegałem na szybkie wyjawienie tajemnicy, bo obecnych zaprzętnęła akurat dyskusja nad problemem zasadniczej natury. W szklanej butli wyszło już dno i należało ustalić, jaki kolejny trunek wybrać dla podtrzymania miłego nastroju. Obowiązujące w wykwinnym wojśławickim towarzystwie zasady zgodności i następstwa wykluczały najwyraźniej repertuar oficjalny, wszystko bowiem, co dostępne było w bufecie, zgodnie uznane zostało za niegodne takiej okazji. Z pewnym trudem zgodzono się na propozycję ajenta, aby zastąpić piwo owocową bormotuchą, zwaną tu pieszczotliwie „prytą”. Ale, oczywiście, tylko w charakterze „papojki”.

— Daj, Jakub, tego rządowego — zawyrokowało w końcu towarzystwo. Staruch odmówił zdecydowanie, ale, charakterystyczna rzecz: wydawało się, że w każdej innej sprawie zebrani uszanowaliby stanowczość swego nestora, w tej jednak nie.

— Dajcie spokój, rządowego? Nie mogę!

— Nu, nie zawalaj. Redaktor niech popróbuje, z daleka jechał.

— A właśnie nie mam nic, wszystko wzięli — bronił się Wędrowicz. — Zresztą tajemnica!

— Jaka tam tajemnica, jak on już i tak uznał. I nie gadaj, bo sam mówiłeś, że sobie trochę zostawiłeś, taki to dobry gon wyszedł.

— Ale to koncentrat! A on nieprzygotowany, zaszkodzi mu!

— Co tam zaszkozi, duży chłop!

Staruch pomarudził jeszcze, potem zniknął gdzieś na chwilę i za jakiś czas wrócił z zatkaną papierowym zwitkiem litrówką. Na oko wykorzystywano ją do alkoholowego recyklingu już tyle razy, że aktywiści partii zielonych mogliby się do niej modlić.

Nalano mi szczerze. Pomyślałem, że coś, co w gronie takich tęgoryjców uchodzi za koncentrat, pozbawi mnie życia w minutę osiem. Ale płyn nie miał wcale jakiejś szczególnej mocy. Samogon jak samogon. Tyle że biały i z dziwnym posmakiem.

Nie trwało to długo. Kątem oka zauważyłem, że ośrodek zainteresowania towarzystwa jakby przemieszcza się ku sołtysowi, którego wszyscy zaczęli poklepywać, gładzić i okazywać mu życzliwość na inne sposoby.

I wtedy zaczęło mnie brać.

W telewizorze na bufecie ktoś przełączył muzyczną satelitarę na polską jedykę. Dostrzegłem na ekranie sejmową mównicę, a nad nią twarz premiera. Tknięty nieodpartym impulsem rzuciłem się zrobić głośniej. To było oburzające, że gadali tak głośno, nie słuchając tego, co mówi nasz przywódca. Zwróciłem im na to w ostrych słowach uwagę, ale zareagowali tylko chóralnym rechotem. A ja nie mogłem uczyć ich w tym momencie dobrych manier. Nie pozwalało mi na to wzruszenie, z jakim chłonałem słowa mego ukochanego polityka. W zapamiętaniu kiwałem głową, gdy wyliczał swoje sukcesy. Przytakiwałem mu ze szlochem. A potem rzuciłem się obejmować telewizor i całując poczerwiałe od kurzu szkło, łkałem z oddania, na przemian wznosząc prorządowe okrzyki i wyznając swe winy wobec tej najlepszej możliwej władzy, które nagle uświadomiłem sobie z bolesną jaskrawością.

— Ależ go wzięło — stwierdził ktoś z podziwem.

— Niezwyczajny, mówiłem. A to koncentrat. Szklanka na dziesięć litry wystarczy...

Uczucie wstydu nie jest mi obce, więc na swoje dalsze zachowanie spuszczę tu zasłonę milczenia.

\* \* \*

Nie wiedzieć jak ani skąd, rano, a żeby być ściśłym, następnego popołudnia, ocknąłem się w chałupie Wędrowycza, równie cuchnącej i plugawej jak on sam. Długo trwało, zanim opanowałem ból głowy i mdłości na tyle, aby wstać. Zaofiarowanego przez gospodarza klina wciągnąłem tylko w nadziei, że umrę po nim szybko i przestanę się męczyć. Ale byłem w rękach fachowca. Z wolna doszedłem do stanu pozwalającego skupić myśli oraz uświadomić sobie sytuację.

Sytuacja była tragiczna. Facet w ramach przyjacielskiej przysługi dla sołtysa napędził magicznego bimbru, skutkującego nieopanowaną miłością do władzy. I, niestety, wiadomość o tym strategicznym odkryciu wydostała się poza Wojsławice. Jasne, że za taki prezent grupa trzymająca władzę gotowa była umorzyć staruchowi każdy proces. Gdyby tego zażądał, daliby mu willę z ogrodem jak ruski poligon albo diamentową aparaturę do destylacji.

— Ty stary łajdaku — wybełkotałem — sprzedałeś tej bandzie coś takiego... Przecież oni teraz... Oni teraz...

Staruch rechotał tylko, a jego kaprawe oczka lśniły jeszcze większą złośliwością niż zwykle.

Wywlokłem swoje zwłoki na dwór. Trochę po to, żeby złapać powietrze, a trochę, żeby poszukać zasięgu komórki. Znalazłem go za stodołą.

Doleją tego świństwa do siwuchy, pewnie specjalnie obniżą na ten gatunek akcyzę, i mają miażdżącą większość w każdym wyborach. Chciało mi się płakać.

— Prorok? Tu Rafał. Słuchaj, mamy wszyscy prze — gwizdane...

— Masz tam telewizor? Stary, żałuj! — Prorok był czymś niezmiernie ubawiony. — Powariowali! Od wczoraj na wszystkich kanałach...

Kręciło mi się w głowie, chciało wymiotować, słowa Proroka docierały jak przez ścianę z gąbki.

— Na wszystkich kanałach... Jacy to są świetni... Zakochani w sobie... Kompletny samozachwył... Pochlali się całym rżadem czy co...

— Pochlali się — powtórzyłem. W mózgu zaskoczyło. — Prorok, pochlali się! Wychlali to sami! Sami! O Jezu, jesteřmy uratowani!

— Eeee... Rafał, u ciebie wszystko w porządku?

— Potem ci opowiem. — Wyłączyłem komórkę i z błogością osunąłem się na półzgniły snopek.

Teraz myślałem już tylko o jednym. Że kaca najlepiej jest przespać.

2003